№ 17 (Rok Piąty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Pierwsze Półrocze 1838.)

B E L E M.



(WIEŻA W BELEM.)

Mało znajduje się rzek przedstawiających tyle piękności przyrodzenia na jeden punkt zgromadzonych, jak Tag przy ujściu swojém; i mało miast tak malowniczych jak Lizbona. Stolica Portugalii zbudowana jest na pasmie pagórków, tworzących ostatnią granicę łańcucha Guaramy, który obiega prowincye Beirę i Estremadurę. Siedm tych pagórków miasto zalega, a na trzy gruppy można je podzielić: Lizbona, są to wzgórza, na których leży zamek Sgo Jerzego, klasztory Sgo Wincentego *di Fora* i *la Gracia*, oraz *Campo d' Orique*, tworzące razem wyższą i główną część miasta; następnie *Buenos Ayres* z pałacem *Necessidades*, *Estrella* i t. d., a nakoniec Belem. Dolina Alkantara przedziela obie te ostatnie gruppy, łączące się jednak ze sobą mostem Sgo Piotra. Płynąc Tagiem, skoro się tylko minie twierdzę Sgo Juliana, Belem jest najpiérwszym przedmiotem co wpada w oczy podróżnego i uwagę jego zajmuje.

Piękny ten zabytek maurytańskiej architektury, stoi na piasczystém wybrzeżu Tagu, po nad małą łachą; i wraz z wieżą latarniową wznoszącą się na drugim brzegu, broni Lizbonę od strony morza. Baterye, ciągnące się od wieży wzdłuż nadbrzeża rzeki, chociaż zupełnie prawie przez Francuzów rozburzone i przez niedbalstwo sypiące się w gruzy, opatrzone są jednakże podostatkiem dział, zdolnych jeszcze strasznemi je uczynić. Po za wieżą wznosi się klasztor Sgo Hieronima, dzisiaj *Casapia* albo Dom Miłosierdzia zwany. Niepodobna dać dokładnego opisu piękności téj budowy. Bogatemi rzeźby okryta kaplica, z swojemi murami, słupy i dachem z białego marmuru; prześliczny kwadrat z rozkosznemi fontanny; strzeliste słupy podobne do minaretów: już same na oddzielny zasługiwałyby opis. Dosyć wspomnieć, iż niema ani jednego kamienia w całéj budowie któryby nie był okryty maurytańskiemi napisami. *Casapia* znaczy dosłownie: Dom Miłosierdzia (*pia* jest skróceniem *piedade*, miłosierdzie); gmach też ten przeznaczony jest na przyjmowanie i wychowywanie dzieci od rodziców

opuszczonych. Oto sposób, jakim tu dzieci oddają się na opiekę: przy drzwiach wchodowych znajduje się okrągła skrzynia, w którą kładzie się dziécię z karteczką, na niéj wyrażone imię jakie ma otrzymać i znak po którym na przyszłość poznaném bydź może. Skrzynia obraca się potém na walcu, i ciężar swój do środka składa. Wielu rodziców, zbyt ubogich aby mogli wychować swe dzieci, chwyta się tego sposobu; a gdy późniéj stan ich się polepszy, mają prawo żądać zwrotu swych dzieci, za mierném wynagrodzeniem. Płeć niewieścia od najpiérwszego dzieciństwa przyzwyczajana jest do pracy, a zarobek na posag lub na okup im późniéj służy; chłopcy pobiérają nauki potrzebne do rzemieślniczego stanu, a gdy dojdą lat stósownych oddawani zostają do majstrów. Klasztor ten bardzo bogaty, bo mało znajdzie się osób coby o nim w testamencie swoim zapomniały.

Blisko klasztoru rozciągają się królewskie ogrody i letnie mieszkanie królowéj. Gmach skromny; ogrody okazują brak gustu i źle są utrzymywane. Miasto Belem małe i nieregularne, jedynie tylko liczne pałace szlachty piękny pozór mu nadają. Na wzgórzu, w samym środku ogrodów stoi wielki lecz nieskończony pałac *Adjuda*. Tylko strona obrócona ku miastu jest wykończona. Widok z tego gmachu, znajdującego się na tak znacznéj wysokości, prawdziwie wielki i wspaniały. Jeśli kiedykolwiek pałac ten będzie skończony, na co ogromnych summ potrzeba, stanie się wówczas jedném z najpiękniejszych mieszkań królewskiéj rodziny.

RUŚNIACY.

(Dokończenie.)

Klassa druga Ruśniaków od piérwszéj różni się pod wielą względami. Żyją oni bardzo nędznie; pokarm ich stanowi chléb owsianny lub też kukurudzowy; a domy, zabudowania gospodarskie i odzież, są nadzwyczajnie liche. Post dla nich główną jest rzeczą, ztąd też budowa ich ciała powszechnie bardzo słaba; nie lubiąc pracy, potrzeby swoje nieskończenie ograniczać muszą. Wszelkich wygód życia chętnie się wyrzekają, i tylko bez gorzałki obejść się nie mogą, którą nie rzadko aż do utraty zmysłów się zalewają; w ochocie téj i kobiéty rade im towarzyszą. Uprawiają kukurudzę w takich okolicach, gdzie ona bardzo rzadko dojrzewa, a wcześnie ją spożywszy, resztę czasu bez chleba się obchodzą; najczęściéj idą za Cissę na żniwa, gdzie za robotę jeść dostają. Beregski Ruśniak rzadko chowa konia, najwięcéj obchodzi się zwyrodniałymi, małymi wołami, któreby raczéj wolikami tylko nazwać wypadało; a i z tymi tak dalece obchodzić się nie umie, że się ich jak dziécię obawia; ażeby go przejąć bojaźnią i do łez pobudzić, dość mu pogrozić, iż huzarem zostanie. O przechowaniu niewielkiéj ilości zwierza domowego bynajmniéj się nie troszczy, to staranie zostawia on boskiéj Opatrzności i ogólnéj karmicielce, matce naturze. Po ukończeniu pracy wyprzęga woły, i puszcza je aby pożywienia szukały gdzie się im tylko podoba. Wozy ich bardzo nędznie są zrobione, i tak krótkie, iż koła tylne prawie sięgają przednich; dla tego też częstym wywrotom ulegają; robią je najczęściéj sami bez żadnego okucia, a smarowidła bardzo rzadko kiedy używają. Zatém idzie, owe daleko rozchodzące się skrzypienie wozów, mianowicie ciężarem ładownych. Nieznośny pisk i przerażająca muzyka drażniąc nerwy aż do szpiku kostnego przenikać się zdają; i biada uchu nieszczęśliwego podróżnego, któremu się dostanie jechać, w towarzystwie jednego lub też kilku takich wozów. Również nędznie zbudowane są ich domy, wydające się raczéj utworem wichru, co gałęzie drzewa i kupy słomy z sobą nagromadził, aniżeli wypadkiem działania rostropnéj ręki myślącego człowieka. Słomy tu zgoła do łat nieprzywięzują, lecz zmiętą póty na wiązanie dachu rzucają, póki grubości stopy lub też dwóch nienagromadzą; poczém kamieniami i kawałkami drzewa ją nacisnąwszy, już ukończone pokrycie otrzymują; jakie piérwszy lepszy wiatr wszczęty, nierzadko w części lub też całkowicie z domów zrywa i unosi. Spichrzów ani stodół Ruśniak niepotrzebuje; trochę zebranego zboża, które późniéj bydłem wymłaca, leży powiązane w snopki na odkrytém powietrzu, i tylko małémi cząstkami według potrzeby do młynów się odnosi. Ludzie ci mają nadzwyczaj wielką chętkę zwiedzania wszelkich jarmarków, i chyba tylko śmiertelna choroba, może zmusić Ruśniaka do opuszczania niedzielnych albo też rocznych jarmarków, jakie się w sąsiedzkich miejscach odbywają. Żeby zaś na nich nieznajdować się bez celu, Ruśniak swoją chudotą nieustannie frymarczy; zawsze ciągnie on za sobą parę nędznych wolików, krówkę albo przynajmniéj cielę na przedaż; a jeśli się zdarzy przypadkowo, że jakie kilka groszy weźmie więcéj, aniżeli sam za nie zapłacił, wówczas kupuje tańsze, a zatém daleko gorsze bydlę, które

przy piérwszéj zręczności takimże samym sposobem znowu przeszachruje. I chociaż nędzniejszy żywioł do domu przywiedzie, nic to dlań nieznaczy; cała rzecz u niego na tém, ażeby trochę więcéj gotówki do rąk wpadło, którą zwykle za zdrowie kupującego przepija. Całą Ruśniaka zabawę stanowi gorzałka i taniec, którym się zwyczajnie bezżenna młodzież, w niedzielę i święta aż do późnéj nocy oddaje. Starszyzna i niewiasty bardzo często w takich zabawach uczestniczą, a te ostatnie, namiętne nawet upodobanie w nich znajdują, i nierzadko im obowiązki swe poświęcają. W teraźniejszym jednak czasie mniéj się przytrafia gorszących nieprzyzwoitości, chociaż na nich zupełnie nie zbywa, a to z powodu, iż rodzice lub krewni wcześniéj młodzież do domów odprowadzają. Nienależący do tańca, a szczególniéj kobiéty, zgromadzają się na podwórzu, i przynajmniéj do okien karczmy przecisnąć się usiłują, a stojąc przy nich nad tańczącymi rozmaite robią postrzeżenia i uwagi, jakie nawzajem sobie udzielają. Taniec Ruśniaków wiele ma podobieństwa do słowackiego. Chłopak wyzywa po imieniu jednę z patrzących do tańca, a gdy się ta pokaże, wówczas uderza on w dłonie, i dziewczyna, jakby wiatrem porwana, wirowym ruchem w około niego się okręca; co przy wysoko ulatującéj sukmanie, z pod któréj długa wygląda koszula, a czasem nawet i wyższa część nogi, dosyć komiczny przedstawia widok, jakiemu wesoły tancerz rad kilka minut poświęca, poczém objąwszy się wzajem, dwućwierciowym kręcą się taktem, połowę kroku naprzód i na tył, co trwa tak długo, aż nim mężczyzna powtórném klaskaniem do nowego walca dziewczyny nie wezwie, po którym taniec wyższym sposobem, znowu się rozpoczyna. Ruśniacy beregscy i marmaroscy mają rodzaj tańca poważniejszy; u tych stanowi go kolisty walec płci obojéj, niedźwiedziemu tańcowi bardzo podobny, który jednak, jak to z twarzy tańczących widzieć można, nader wielką przyjemność im sprawia. Przy tych pląsach przygrywają zwykle na skrzypcach, przez gęśle towarzyszonych rozmaite piosnki krajowe, które najczęściéj dla multanek są ułożone i skocznémkończą się przegrywaniem. W śpiewie natchnionego Ruśniaka przebija się coś dziwacznego, a obcy człowiek mógłby posądzić, że mu się jakie nieszczęście przytrafiło; gdyż ton jego więcéj jękowi boleści aniżeli głosowi wesela jest podobny.

Pomiędzy innymi zwyczajami, obrzędy ślubne, mogą zwrócić na się uwagę. Aż do 1720 roku było we zwyczaju, że dziewczyna w 5 lub 6 roku już była zaręczaną; poczém brano ją do domu rodziców jéj narzeczonego, gdzie przy swojéj przyszłéj świekrze, do stanu zupełnéj dojrzałości zostawała. Często się przytém zdarzało, iż dorosłe już dziewczęta, pomimo ich woli do ślubów małżeńskich przymuszano. Trzy razy do roku odbywały się tak nazwane *jarmarki dziewicze*, na które przybywać i wdowy niezaniedbywały; klasztor bazyliański w Kraśnym brodzie, był zwykłém ich miejscem. Wówczas ukazywały się dziewczęta z włosami rozpuszczonymi i wieńcem różnobarwnym na skroniach; wdowy zaś, tém się tylko od nich różniły, iż wianki ich były zielone, z samego tylko liścia uwite. Chłopak, któremu się jedna z takich dziewic podobała, przybiegał do niéj pędem strzały, i powiedziawszy tylko: „*pod' do popa, kdi ti treba chłopa*," nieczekając żadnéj odpowiedzi, ciągnął ją prosto do klasztoru, gdzie przybyłą parę natychmiast zakonnik węzłem małżeńskim jednoczył. Taki rodzaj zaślubin, bardzo naturalnie musiał za sobą częste ciągnąć kłótnie i bitwy, jakie narzeczony, rodzice i powinowaci wzajem z sobą wiedli, i po których strona zwyciężająca, oblubienicę przy sobie zatrzymywała. Teraz dziewczynę wydają zamąż w 12 lub 13 roku, a posag uprzednio na piśmie się dla niéj zapewnia. W dzień ślubu przyozdabiają narzeczonę wieńcem piołunowym, dla oznaczenia goryczy, jakie ją w związku małżeńskim czekają.

Gody weselne z wielkim wyprawiane kosztem trwają blisko tygodnia; w początkach wszystko idzie bardzo cicho i porządnie, albowiem oprócz świadków, parocha i dziaków nikt się więcéj na nich nie znajduje; ku końcowi dopiéro szumna wszczyna się ochota. Każdego dnia nowi spraszają się goście, z których żaden z próżną nieprzychodzi ręką; tym sposobem, tyle się darów zgromadza, iż ojcowi wyprawującemu wesele, całkowicie koszta się wracają. Powszechnie przy takich uroczystościach wyprawują się liczne, dosyć jednak skromne uczty, na których Tokan, rodzaj dania przyrządzonego z kukuruzy i séra owczego, piérwsze trzyma miejsce, a gorzałka główny napój stanowi; tą ostatnią, tak hojnie gości częstują, iż niejeden z nich z rzadszą czupryną i mniejszą liczbą zębów do domu powraca. Albowiem w podobnych zabawach, na których wiele się pije i mówi, od nieporozumień do kłótni, a od téj ostatniéj, bardzo krótką drogą, do pięściowego przychodzi się bankietu. O ile w stanie pijaństwa srodzy są i zawzięci, o tyle po wytrzeźwieniu łagodni i

wzajem się szanujący, co w ludziach takiéj klassy, dosyć rzadką jest rzeczą. Ruśniak spotkawszy na drodze znajomego, prawą ręką zdejmuje kapelusz lub czapkę, a lewą poprawiwszy włosów, ściskając prawicę przyjacielską, mocno nią wstrząsa i wymawia właściwe sobie pozdrowienie „*Daj Bože*." W dni niedzielne i uroczyste wieśniacy całują się w usta; niewiasty młode, i dziewice całują ręce podeszłych, które ich w zamian czule ściskają. W niektórych miejscach trwa zwyczaj kąpania dziewcząt w wodzie podczas drugiego dnia świąt wielkanocnych. W tym celu nieżonaci młodzianie zbierają się w jedno miejsce, do domu dziewczyny na to przeznaczonéj, biorą ją i niezważając na wszelki opór, niosą do stawu lub też bliskiéj rzeki, dokąd bez żadnego względu, we świątecznym ubiorze, przybraną w kwiaty, wrzucają, z któréj natychmiast wydobywszy, wśród okrzyków wesela i życzliwości do domu odprowadzają. Jakkolwiek taki rodzaj kąpieli nie bardzo jest przyjemny, i niezawsze bezpieczny dla dziewczyny, przecież nie bardzo się zań gniewają, albowiem dowodzi, iż wybrana osoba wdziękami swojemi i przymiotami najmocniejsze na młodzieży we wsi całéj zrobiła wrażenie; wybór więc taki powszechnego uwielbienia jest oznaką, a razem miłą przepowiednią, prędkiego włożenia czépka; co wszystko jak wiadomo, dla młodych dziewcząt nie jest bez powabu.

We wszystkich chorobach tu jak i gdzie indziéj lud się udaje do leków domowych, albo też u księży szuka dla siebie pomocy, albowiem rozmaite dolegliwości, nadzwyczajnym wpływom zwykł przypisywać. Lekarstwa ich domowe stanowią zwykle zioła, i bardzo rzadko kiedy z królestwa zwierzęcego je biorą. Romatyzmy i suche bóle, leczą korzeniem *pokrzyku* (belladona), którego odwar albo dają w napoju, albo też tylko zewnętrznie w kąpielach używają. Zwyczajném następstwem z użycia tego środka wynikającém, jest chwilowe szaleństwo, którego przyczynę przesądnie sztuce wykopującego przypisują. Drugi sposób leczenia suchych bólów jest u nich następny: całe cierpiącego ciało oblepiają gliną garncarską, potém wsadzają go do pieca ogrzanego, i póty w nim utrzymują aż nim ta nie stwardnieje. Zielu zwanemu *dziewięć sił* takoż skuteczne działanie przypisują. Do gojenia ran używają liści rozmaitych roślin, jak np. wierzby, brzozy, olszyny, bzu i babki· Fébry leczą niekiedy za pomocą środków przeczyszczających, dyety, lub przypraw wzmacniających jak np. z piołunu, chabru i t. d., częściéj jednak z pomyślnym skutkiem, używają do tego pieprzu i imbieru, które w winie lub gorzałce, na kilka godzin przed paroxyzmem, choremu pić dają. Tymże samym sposobem radzą krwawym dyaryom z tą tylko różnicą, że do pieprzu i innych korzeni dodają. W chorobie wenerycznéj udają się do gorących kąpieli z ziół rozmaitych, których mięszaninę w tajemnicy utrzymują. I chociaż skutki tych kąpieli nie zawsze są pewne i prędkie, z tém wszystkiem wierzą, iż po ciągłém przez długi czas ich używaniu, choroba koniecznie ustąpić musi. W ogólności kąpiele zalecane są u nich we wszelkich cierpieniach; nawet w stanie zupełnego zdrowia, obficie ich używają. Dogodność niemałą w tym względzie nastręczają im bogate w kąpiele Węgry; gdzie na każdém prawie miejscu, w bliskości wód płynących, urządzone są łazienki, w których się kąpie za opłatą kilku groszy. Żeby jednak naprożno nie płacić, często Ruśniak przebywa w nich nietylko dni ale nawet i nocy całe, a w czasie tym, starannie wypróżnia przyniesione z sobą flasze gorzałki; zwykle wychodzi z kąpieli jak rak czerwony, i prawie w gorącéj wodzie oparzony.

Do przesądów pomiędzy niémi panujących, policzyć należy, wiarę w czary i czarowników; a nawet i upiorów, lud pospolity dotąd się jeszcze nie wyrzekł. Niedawno jeszcze, bo 1817 roku, gmina jedna wykopała zmarłego; porąbano go na części i wrzucono do worka, którego wierzch sznurem z końskich włosów zawiązano i przytém jeszcze zaczarowaną kłódką zamknięto: poczém worek na nowo zagrzebano; przyczyną do takiego postępowania, było powszechne mniemanie, że się zmarły przyczynił do rozszerzania chorób pomiędzy ludźmi i zarazy wśród bydła. Podobnych jednak występków rząd teraźniejszy ostro im zabrania. Drugi zupełnie nieszkodliwy jest zwyczaj, chowania umarłych w polu znalezionych na témże samém miejscu, na którém ciało ich spoczywało. Każdy około takiéj mogiły przechodzący, rzuca na nią kamień lub gałąź drzewa, przez co, w niewielu latach, wznosi się góra do olbrzymiego mrowiska bardzo podobna. Pogrzeby wszelkie jednostajnym odbywają się sposobem. Umarłemu, przed jego pogrzebieniem, ksiądz daje w rękę pasport, do przebycia wiecznéj podróży; a po przysypaniu go ziemią, zmartwieni pozostali, w gorzałce boleść swoją utopić się starają. Marmaroscy Ruśniacy kładą do trumny umarłego butelkę dobréj gorzałki lub miodu starego, któremiby on pragnienie mógł

przygaszać; a dla przeszkodzenia powrotowi jego na ziemię, trumnę przewracać zwykli.

(Ausland.)

KAMIENIE METEORYCZNE.

przez *Antoniego Żyszkiewicza.*

Wszelka prawda, tak fizyczna, jako też moralna, jeżeli tylko pochodzi z krainy wyższéj, nieprzystępnéj dla dotykalnéj pewności zmysłów naszych, z wyniosłości za granicami zwyczajnego pojęcia położonéj, nim uznaną i upowszechnioną zostanie, musi uprzednio rozmaite koleje z odmiennėm przechodzić powodzeniem. Poczynając od najniższego szczebla ciemnoty, od niedowiarstwa, przebłądziwszy rozmaite stopnie pewności i powątpiewań, zaledwie w końcu na właściwém stanowisku, żywém zajaśnieje światłem; szczęśliwa jeżeli na niém ostać się zdoła, i gdy druga ostateczność umysłu ludzkiego, zbytnie o siłach swoich zarozumienie, oderwawszy ją z tego rzeczywistości ogniska, do krainy czczych marzeń nie uniesie. Przebiegając dzieje rozumu ludzkiego, nierzadko na podobne natrafimy przykłady: do rzędu ich wziętego ze świata fizycznego, odnieść należy kamienie meteoryczne czyli aërolity. Niema podobno zjawiska w przyrodzeniu, któreby tak dawno znajome było, jak spadanie meteorycznych kamieni; a jednak, żadnemu z nich fizycy z większym niezaprzeczali uporem; tak dalece, iż rzeczywistość tego fenomenu zaledwie w naszych czasach utwierdzona i upowszechniona została. Dzisiaj kiedy już nikt o prawdziwości jego niewątpi, spodziewamy się, iż znajdziemy powolnego czytelnika, co téj o niém wiadomości pominąć niezechce.

Pod imieniem kamieni meteorycznych albo aërolitów, rozumiemy takie massy kamienne lub metaliczne, które z górnych krain atmosfery, czyli jak pospolicie mówimy, z nieba, już pojedyńczo, już gromadnie, jakby w postaci deszczu kamiennego na ziemię spadają. Jakkolwiek okoliczności zjawieniu się ich towarzyszące, pod pewnémi względami są różne, z tém wszystkiém w ogólności powiedzieć można, iż każde takie spadnienie poprzedza meteor świetlny, najczęściéj przedstawujący się w kształcie kuli ognistéj, lub też rozpoczyna się ukazaniem chmury, która strumienie światła pod postacią błyskawic z siebie wylewa; w jednym i drugim razie, massa napowietrzna w kierunku mniéj więcéj ukośnym, zmierza ku ziemi, a takiemu jéj dążeniu, pospolicie towarzyszy odgłos daleko rozlegających się gromów, oraz świst, jaki ciałom w gwałtownym ruchu zostającym jest właściwy; następnie dosięgłszy meteor do powierzchni ziemskiéj silnie o nią uderza, poczém w miejscu tego zetknięcia, głębiéj lub płycéj, znajdujemy kamień, najczęściéj jeszcze gorący, i nietylko odmiennego składu od tych, jakie zwyczajnie w okół niego spotykamy, lecz nawet całkiem różny od wszelkich innych, które na naszym planecie natrafić możemy. W końcu, to jeszcze dodać musimy, iż w miejscu jego upadku bardzo często, mocny zapach siarki zwykł się szeroko rozlegać.

Niepodobna więc rzecz, aby tak uderzające i dziwne zjawisko przed uwagą ludzką ujść mogło: w istocie też, niepowątpiewano nigdy o okolicznościach tak dotykalnych tego fenomenu, tylko mianowicie w czasach późniejszych, pomimo licznych postrzeżeń, na jakich ciągle nie zbywało, jego treści czyli wypadkowi, to jest powstaniu kamienia zaprzeczano. Rzućmy okiem na historyą tego zjawiska. Najdawniejszych czasów dzieje i podania, w niewątpliwy sposób o deszczu kamiennym wspominają; albowiem niektóre z tych ostatnich, aż do 12go a nawet i 14go wieku przed erą chrześciańską sięgają. Późniejsze cokolwiek podanie ma się w Chinach znajdować, według którego, w prowincyi Honan na lat 664 przed Chrystusem, pięć kamieni upadło. Liwiusz o takiémże samém zjawisku robi wzmiankę, mówiąc, iż kamienie spadłe na górze albańskiéj, były powodem, że senatorowie takim cudem uderzeni, na miejsce dla oglądania ich wychodzili. Pliniusz i Plutarch wspominają, iż około roku 462 przed Chrystusem, spadł kamień blisko Aegos-Potamos w Tracyi, który oprócz nadprzyrodzonego swojego początku, jeszcze niezwykłą zadziwiał wielkością; a jak powiadają, pisma historyków chińskich wiele podobnych wydarzeń przywodzą. Nie jest naszym zamiarem, koleją wieków obliczać następstwa tego zjawiska; chcieliśmy tylko pokazać, jak dawne są o niém wiadomości, i jak mądrze postępowała odległa starożytność, iż niezaprzeczając niepojętym dla siebie wypadkom, przekazywała je późnéj potomności, w nadziei, że ta zbiorem liczniejszych postrzeżeń wzbogacona, szczęśliwszą będzie w poznaniu przyczyn, dla niéj jeszcze niezbadanych.

Wieki średnie niemniéj są bogate w podania tyczące się tegoż zjawiska. I tak, Isidorus powiada, iż w szóstém stoleciu, widział kamienie padające na górze Libanu, które,

jasna i grzmotliwa poprzedziła kula. Spangenberg mówi o dwóch wielkich kamieniach spadłych w okolicach Magdeburga w 998 r. Cranz wzmiankuje o wielu massach kamiennych, jakie spadły 1304 roku 1 października, blisko Friedeland w Brandeburgii. Podobnyż fenomen zdarzył się pod Ensisheim w Alzacyi, gdzie 4 listopada 1492 roku, w obecności wielu świadków, i prawie przed oczyma cesarza Maxymiliana, upadł jeden z największych meteorycznych kamieni; albowiem, ciężar jego blisko 300 funtów dochodził.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZDANIA I MYŚLI ROZMAITE.

Wyrazy jakich się najwięcéj używa, są właśnie te nad którémi najmniéj się myśli. W dzisiejszym zwłaszcza wieku, przyzwyczajamy się mimowolnie te lub owe słowa, polubione, panujące, powszednie, tak z czasem traktować i lekce ważyć: jak jakich natrętów, włóczęgów wszędzie natrafianych, lub jak domowych gadułów których się bezustannie przy sobie słyszy; nareszcie do tego nam stopnia obijają się one o uszy, tak się z niémi oswajamy i poufalimy, że sami wydajemy je w końcu byle na co, mimo puszczając, jakby jakąś codzienną, zdawkową monetę, wszędzie przyjmowaną i będącą zawsze pod ręką. Pomiędzy wyrazami o jakich tu mowa, są nawet takie, a to najgłośniejsze, najpowszechniéj z ust do ust przechodzące, o których w gruncie rzecby można co powiedziano o dzwonie: wiész dla czego tak głośny? — bo wewnątrz jest próżny.

Piérwsi chrześcijanie, po puszczach i jaskiniach przechowujący światu naukę Zbawiciela, niepotrzebowali od nikogo zaświadczeń, że istotnie byli wyznawcami Chrystusa; trwali oni w świętéj wierze i ją utwierdzali nie przez żadne uznanie tego lub owego, nie przez żadne o tém urzędowe obwieszczenie, ale jedynie przez moc i dzielność własnego uczucia, własnego przeświadczenia.

Jedynie to może wybujać, rozwinąć się i dojrzeć, co ma pod sobą grunt i czas.

Niedorzeczność i nierozum w pojedyńczym człowieku może czasem zabawić, rozśmieszyć; ale gdy ludzie w znacznéj swéj massie tracą przytomność i dziecinnieją: taki nierozum oburza i głębokim smutkiem przejmuje.

NOWE DZIEŁO.

Pamiętnik naukowy. Kraków, w księgotłoczni Stan. Gieszkowskiego. 1837. miesiąc Grudzień, zeszyt ósmy.

(Dokończenie.)

W dalszym ciągu Listów o stanie piśmiennictwa Polskiego znajduje się rozbiór dzieł: b) *Piąty akt, dramat, oryginalnie przez Józefa Korzeniowskiego napisany.* „Dramat Korzeniowskiego pod napisem: *Piąty akt*, przedstawiony został przed rokiem we Lwowie, a 1 stycznia 1838 na scenie warszawskiéj, i jak zwykle, z zadowoleniem był przyjęty i oklaskami obsypany. Oryginalnego dramatu dawnośmy na naszym teatrze nie widzieli, co się do dobrego przyjęcia tego dzieła nie mało zapewne przyłożyło; lecz z przykrością wyznać nam przychodzi, że Piąty akt w niczém, wyjąwszy gładkości stylu, nie odpowiedział temu, czegoby po oryginalnym polskim dramacie w teraźniejszym czasie spodziewać się należało."— Ażeby to zdanie usprawiedliwić, recenzent rozważa naprzód sam przedmiot, który Korzeniowski w formie dramatycznéj odmalował, i daje zdanie że przedmiot ten nie jest wcale dramatycznym; a na usprawiedliwienie zdania wypisuje treść dramatu.

„A jakiż wreszcie cel tego dzieła! — mówi daléj recenzent — czego tu chciał dowieść autor! czy tego, że żony nie powinny dwóch kochać? czy tego, że młodzi ludzie powinni nad sobą panować? czy wreszcie tego, że mężowie zazdrośnymi bydź nie powinni? Byłaby to nader ogólna, ale przecież jakażkolwiek moralność. Tymczasem nie widzimy jéj wcale, bo wszystkie osoby są w zupełności w błędach swoich usprawiedliwione, są całkowicie niewinne, i nietylko że niewinne, ale nadto arcyszlachetne i cnotliwe. Cóż hrabia temu winien, że Eliza jest tyloma pięknemi przymiotami obdarzona, i że się w niéj mimo własnéj woli zakochał, nie mając jako bogacz nic lepszego do roboty? Sam się w téj mierze (w scenie z lekarzem) nader gładko, a nawet wzniośle i poetycznie usprawiedliwia. Cóż Eliza temu winna, że czuje pociąg magnetyczno-miłośny ku hrabiemu? wszakże nie stała się niewierną. Za cóż wreszcie obwiniać

Wacława? czy za to, że niechce ażeby żona jego romansowała, chociażby tylko platonicznie, z panem hrabią? Ma słuszność; żaden mąż kochający żonę, nie lubi tego: któż tedy jest winnym sprawcą téj okropnéj katastrofy? Los! — Więc z tego wszystkiego chyba taki można wyciągnąć wniosek, że los, że zbieg okoliczności może się stać niekiedy przyczyną nader smutnych wypadków. W istocie jest to myśl bardzo nauczająca!"

„Dosyć obszernie rozwiedliśmy się nad pomysłem i celem, chociaż trudno zaręczyć, czy Korzeniowski, pisząc *Piąty akt*, zwracał uwagę na te dwa względy; trudno zaręczyć, czy myślał o czém więcéj, oprócz wykombinowania katastrofy ile możności dziwacznéj i osobliwéj, i czy miał na celu cóś innego oprócz wrażenia. Zresztą, nie do nas to należy: staraliśmy się tylko ocenić to, co autor uskutecznił. Mówiąc jednak o spekulacyi na wrażenia, niepodobna pominąć w rozbiorze Piątego aktu jednéj okoliczności, w któréj taż spekulacya w sposób dosyć niezgrabny wpada nam w oczy. Mianowicie zdziwiło nas to mocno, że Wacław, człowiek tak szlachetny, mógł przyjąć od hrabiego bogaty zapis, a przez to żoną niejako frymarczyć. Lecz w czwartym obrazie dowiadujemy się o przyczynie: Wacław przyjął zapis dla tego, ażeby go potém podrzeć i przy téj sposobności wypalić wspaniałomyślną i patetyczną sentencyę. Pocóż tyle zachodu? Mógł był to zaraz uczynić."

„Rzeczą jest naturalną, iż zapatrując się z powyżéj wyłuszczonego stanowiska na utwor Korzeniowskiego, wystąpiliśmy poniekąd w ogólności przeciwko systematowi wszystkich niemal tegoczesnych pisarzy dramatycznych, którzy zamiast pewnéj filozofii życia, zamiast historyi społeczeństwa, przedstawiają nam jego wyjątki; zamiast uczuć, namiętności, charakterów rzeczywistych i czerstwych, wprowadzają na scenę nieludzką jakąś grę swojéj rozbujałéj fantazyi, grę namiętności abstrakcyjnych i potwornych, które nie w przyrodzeniu ale w ich głowach istnieją. Wystąpiliśmy może i przeciw smakowi dzisiejszéj publiczności, która do teatru przychodzi po wrażenia, która jest może ciekawą. Tu właśnie tkwi przyczyna, dla któréj np. we Francyi, takie mnóstwo dramatów ciągle się pojawia i ginie po krótkotrwałém istnieniu. Rzecz prosta. Jak można długie powodzenie rokować dziełu, które niema innéj wewnętrznéj zalety oprócz dziwacznie powikłanéj intrygi, zakończonéj krwawą i nadzwyczajną katastrofą? Po zaspokojeniu ciekawości, to jest po dowiedzeniu się o losie bohatyra lub bohatyrki, cóż pozostaje? Pocóż chodzić drugi raz na sztukę, w któréj niema wielkiéj nauki charakterów, niema owego genialnego zgłębienia społeczeństwa i jego historyi, znajomości życia i serca ludzkiego we wszystkich jego odcieniach. Trzeba więc ciągle czegoś nowego."

„Francuzcy i inni tegocześni dramatycy, jeżeli się biorą do historyi, to rzadko z ową sumiennością Szekspira, Getego lub Szyllera, z owém dziwném przeniknieniem ducha czasu, jakie widzimy w historycznych dramatach tych nieporównanych pisarzy, w tych malowidłach dziejowych, uderzających swą prawdą, tęgością i życiem. Ich historyczne charaktery są w większéj części skrzywione, fakta niebyłe i z przyrodzeniem epoki przedstawianéj sprzeczne, a przeto koloryt wieku sfałszowany. Za przykład dosyć jest wspomnieć dramata historyczne Wiktora Hugo, najbardziéj utalentowanego i najsławniejszego z dzisiejszych francuzkich dramatyków, któremu nawet niekiedy, jak np. w Hernanim, udawało się cóś istotnie pięknego w tym rodzaju napisać. A cóż dopiéro mówić o chmarze tylu innych podrzędnych?"

„Możeśmy nieco zboczyli od rzeczy, wdawszy się w ogólne uwagi nad nowoczesnym dramatem; lecz to właśnie dla tego, że *Piąty akt* uważamy za echo nowéj francuzkiéj szkoły, za piérwsze niemal objawienie się jéj wpływu u nas: bo chociaż na scenach naszych grywają kilka sztuk tego rodzaju, są to jednak tylko przekłady. Trzeba wszakże przyznać *Piątemu aktowi* tę zaletę i wyższość nad niemi, iż styl w nim jest piękny, nawet wytworny, a w dyalogowaniu zręczność i łatwość. Z piérwszego mianowicie przymiotu oddawna jest Korzeniowski w naszém piśmiennictwie znany."

„Tytuł dzieła: *Piąty akt*, jest widoczną pretensyą do oryginalności i nadzwyczajności."

c) *Koliszczyzna i Stepy, powieść przez Edwarda Tarszę*, Wilno 1838 (*).

.....„Powieść Edwarda Tarszy, (słowa są recenzenta), jest wprawdzie tylko piérwszym zarysem i niby próbą tego, co na rozleglejszy wymiar i w dramatyczniejszéj formie, autor na tém tle osnować obiecuje. Żeby łagodniejsze światło rzucić na obraz tylu okropnych wypadków, autor powieść swoję umieścił w ustach starca, który za młodu do

(*) Rozbiór tego dzieła był umieszczony w Magazynie Powszechnym roku bieżącego Ner 2 i 3.

hajdamaczyzny należał. Co z téj strony zyskała powieść, straciła na ruchu i akcyi dramatycznéj, oraz na całości osnowy; i trzeba było całego talentu poety, żeby zachować poetycką wartość przedmiotu w niewdzięcznéj formie narracyjnéj, owszem nowe z niéj wydobydź piękności. Cóżkolwiek bądź, w powieści Edwarda Tarszy wieje duch tak pogodnéj kontemplacyi, tyle w niéj poezyi i prawdy, tyle widać sztuki w ujęciu przedmiotu, nawet szczegółów z ich poetycznéj strony, w opowiadaniu starego hajdamaki maluje się tak żywo pokój i melancholia tych nieprzejrzanych stepów Ukrainy, poważny i dumający charakter jéj mieszkańców, ich wewnętrzne życie i historyczne wspomnienia, że śmiało powiedzieć można, w literaturze naszéj mało jest podobnych utworów tak wysokiéj wartości...." Następnie recenzent kreśli treść téj powieści i obszerne z niéj wyjątki przytacza. — d) *Chaos. Szczypta kadzidła cieniom wierszokletów od Witalisa Komu-Jedzie*, Wilno 1835. — Jest to napomknienie o téj książce podług *Wizerunków* wileńskich, z przytoczeniem artykułu o Nosie. — e) *Poezye Seweryna Grozy;* Wilno 1836 tomów dwa. „W utworach S. Grozy, chociaż niewinnych, prostotnych i na poezyi ludu opartych, znachodzimy uganianie się za zwrotami i wyrażeniami poetów litewskich, oraz ciągłe powtarzanie się wszystkiego, prócz różności przedmiotów opiewanych, i niewłaściwie umieszczonéj w tym zbiorze powieści do przyjaciół: „Kwadratura koła." Ale téj wady będzie można łatwo pozbyć się w przyszłości, znachodząc pomoc w rozległym talencie; szczególniéj podoba nam się „Pożegnanie" i „Spotkanie:" to ostatnie przywodzi na myśl już dawniéj znany poemacik: „Panicz i dziewczyna."— Zeszyt kończy się Bibliografią czyli katalogiem 36 dzieł nowszych.



POPIELNICE RZYMSKIE.

W numerze 4m Magazynu Powszechnego za rok bieżący, była mowa o sławnych, tak nazwanych greckich, naczyniach, które jako arcydzieła sztuki starożytnéj czasów naszych doszły; w tymże numerze umieściliśmy rysunek najpiękniejszych waz tego rodzaju. Wszakże nietylko w Grecyi, słynącéj sztukami pięknemi; ale i we Włoszech kunsztownie wyrabiane były podobne naczynia. Mamy tu przed oczyma dwanaście w rozmaitym kształcie popielnic albo urn rzymskich, które przy okazałych pogrzebach i w mauzoleach ludzi bogatych składano. Z samego porównania tych urn, czytelnik przekonać się może, jak wielką rozmaitość zachowywali Rzymianie w tym przedmiocie sztuki. Według postaci i objętości urny te nosiły stosowne nazwiska np. *olla cineraria*, *ossuaria*. Popielnice stawiano we framugach, często po kilka w jednym i tymże samym otworze, a że liczba tych ostatnich nadawała grobowcowi podobieństwo do gołębnika, ztąd framugi wspomnione zwano *columbaria*.

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKÓŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 483.